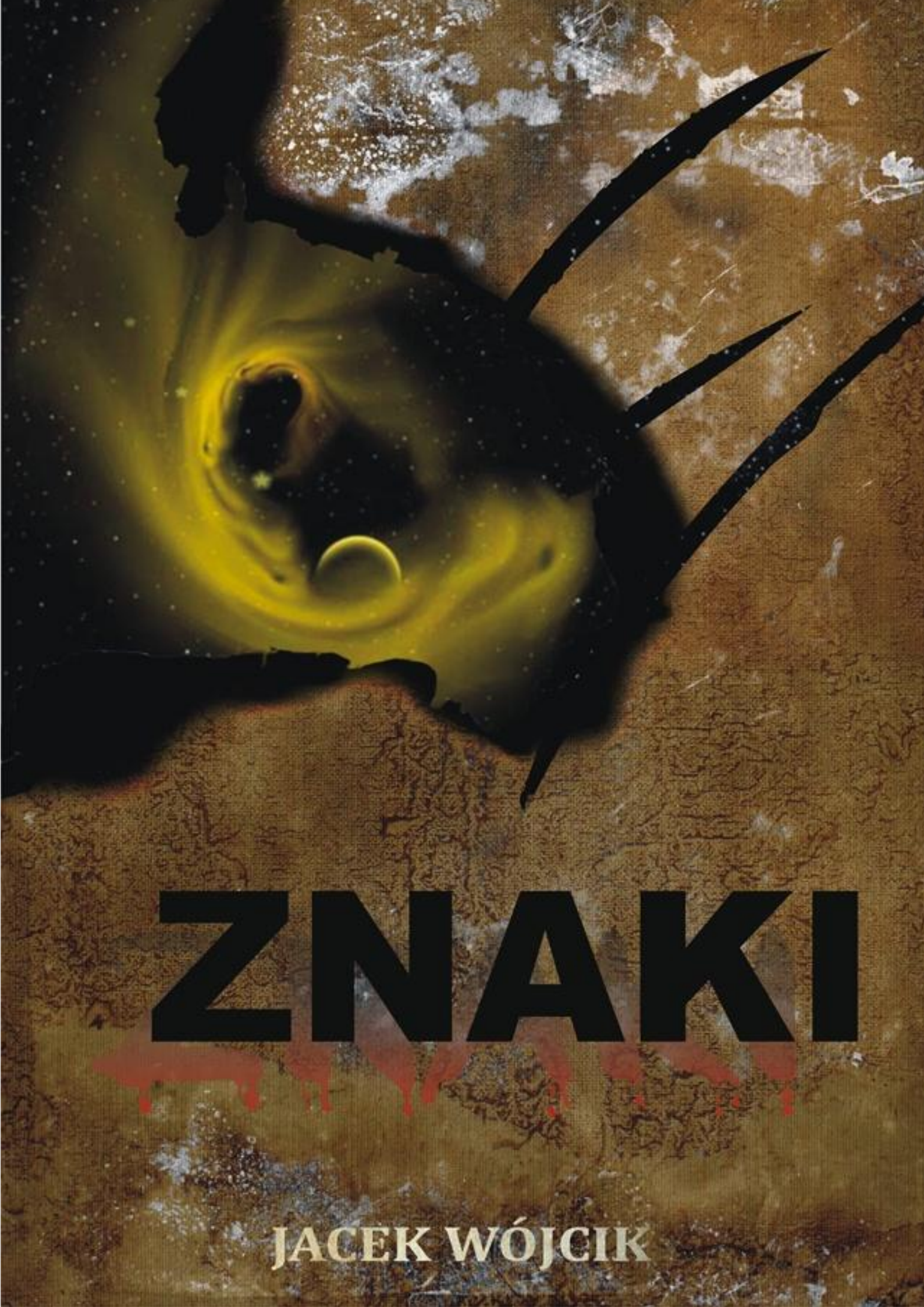




ZNAKI

JACEK WÓJCIK

Jacek Wójcik

ZNAKI

[Kup książkę](#)

© Copyright by Jacek Wójcik & e-bookowo 2009

Grafika i projekt okładki: Jacek Wójcik

ISBN 978-83-61184-62-1

Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2009

www.e-bookowo.pl

[Kup książkę](#)

Wszystkie wydarzenia astronomiczne i miejsca przedstawione w książce są prawdziwe i miały miejsce, tak jak to opisałem.

Cytaty zaczerpnięte z „Biblii Tysiąclecia”

*...A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie
zwolniony. I wyjdzie, by omamić narody...*

Ap. 20,7

– Witam wszystkich w ten szczególny dzień! – Głos radiowego spikera rzeczywiście emanował podnieceniem i radością. Przygłuszał nawet warkot silnika i ciche pogwizdywania taksówkarsza. – Tak, tak 11 sierpnia 1999 roku, przez większość mieszkańców europy zostanie zapamiętany, jako dzień zaćmienia Słońca. Z tej okazji pozwoliłem sobie zaprosić do studia eksperta w tej dziedzinie, profesora Starsky’ego.

– Witam państwa – przywitał się nieśmiało profesor.

– Panie profesorze, proszę nam powiedzieć, czym tak naprawdę jest zaćmienie Słońca i dlaczego jest to tak niesamowite zjawisko?

– Zaćmienie jest naturalnym zjawiskiem astronomicznym, mającym swe cykle i prawidłowości – zaczął oficjalnie profesor, jednocześnie siłąc się na obojętny ton. – Występuje, kiedy pomiędzy naszą planetą a Słońcem, znajdzie się nasz naturalny satelita, Księżyc. Wówczas to powstaje na ziemi gigantyczny cień.

– Jak często ma miejsce takie zjawisko?

– Zaćmienia są dość częstym zjawiskiem, jednak to jest szczególne z dwóch powodów.

– Mianowicie? – dopytywał dziennikarz.

– Po pierwsze przechodzi przez bardzo wiele państw, i przez to będzie mogło je podziwiać miliony ludzi. Po drugie, wieczorem, na dokładkę będziemy mogli podziwiać deszcze perseid.

– Zaćmienie i perseidy jednego dnia? Często ma miejsce takie zdarzenie?

– Bardzo rzadko. – Zaśmiał się profesor. – Właściwie to nie zadałem sobie wcześniej takiego pytania i nie potrafię na nie teraz odpowiedzieć.

– A gdyby musiał pan strzelać? – Zmuszał do odpowiedzi dziennikarz.

– Strzeliłbym, że coś takiego ma miejsce raz na kilka tysięcy lat...

Pasażerka taksówki nie słyszała już dalszej części rozmowy. Zatopiona we własnym zmęczeniu i senności, marzyła tylko o chłodnym napoju i wygodnym łóżku. Słońce przebijające się przez szybę, dodatkowo rozleniwiało i usypiało dziewczynę.

Taksówka zatrzymała się przed rzędem kamienic. Dziewczyna wysiadła. Była młoda, najwyżej dwudziestoletnia o bardzo długich, ciemnych włosach i takiej samej karnacji. Proste rysy twarzy i przeciętny wzrost, sprawiały, że mężczyźni nie odwracali się na ulicy, by raz jeszcze podziwiać jej urodę. Zgrabna figura ukryta pod obcisłymi czarnymi dżinsami i krótką białą koszulką polo, sprawiała, iż prezentowała się bardzo młodzieżowo. Marta, bo tak miała na imię pasażerka taksówki, uregulowała z kierowcą należność, następnie narzuciła sobie niewielki plecak i pociągnęła za sobą walizkę.

Kamienica, w której mieszkała, była czteropiętrowym budynkiem pokrytym w swojej górnej części rysunkami przedstawiającymi rodowe herby pierwszych właścicieli. Były tam głównie smoki oraz walczący z nimi rycerze. Jednak ponad tym wszystkim znajdowała się główna ozdoba fasady. Długa na całą szerokość kamienicy płaskorzeźba przedstawiająca węża z głową smoka, który zionął zielonym ogniem. Doskonale widoczna ze sporej odległości wyglądała jak groźny strażnik skutecznie strzegący snu wszystkich mieszkańców posesji. Okna były nowe i trochę nie pasowały do znacznie starszej i już nieco przybrudzonej elewacji. Drugie piętro bez windy nie

było zbyt łatwym zadaniem dla szczupłej i niezbyt wysokiej dziewczyny. Walizka w końcu wylądowała przy drzwiach, szcęk długo nieotwieranego zamka i można było ją wrzucić do środka. Marta przemierzyła przedpokój, poszła do kuchni i otworzyła lodówkę.

– Żadnego napoju – pomyślała z niedowierzaniem i rezygnacją.

Wróciła do przedpokoju i wykopała z plecaka butelkę z resztką wody mineralnej. Wypiła jednym haustem wszystko. Zwykle bardzo twarda i niewygodna kanapa stała się nagle bardzo miękka i zachęcająca do wypoczynku. Marta prawie od razu się z nią przeprosiła i położyła się leniwie. Jednak ledwie zdążyła się położyć, zadzwonił telefon.

– Kto to może być? – przemknęło przez myśl Marcie i z wielką niechęcią podniosła słuchawkę.

– Halo – powiedziała ociężale, mając nadzieję szybko skończyć rozmowę.

– Cześć Marciu, jak żyjesz? Długo cię nie widziałam. Kiedy wróciłaś? – Usłyszała w słuchawce głos należący do jej przyjaciółki Oli, od razu poznała, jej szczebioczący głos i niesamowicie szybko wypowiedane słowa.

– Cześć Ola, właśnie przesłamałem przez próg po podróży i padam na twarz ze zmęczenia – powiedziała, przekręcając się na bok.

– Rozumiem, ale ja dzwonię w konkretnej sprawie. Wiesz, że dziś jest zaćmienie, za jakieś dwie godziny – mówiła szybko Ola.

Marta spojrzała na zegarek, dochodziła dziesiąta trzydzieści.

– Za dwie godziny mówisz?

– Dokładnie, nie możesz przegapić – prawie krzyczała podekscytowana Ola. – Taka szansa jest raz na całe życie, albo nawet rzadziej.

– Jasne, jasne – rzuciła prawie na odczepkę Marta. Nie bardzo miała ochotę po wyczerpującej podróży wybierać się gdziekolwiek. Jednak Ola знаła ją zbyt dobrze i od razu wyczuła intencje Marty.

– Nawet nie próbuj się migać. To naprawdę może być ciekawe. Darek przygotował jakieś lunety, by można było lepiej to wszystko obejrzeć.

– Dobrze już dobrze, przyjdę. Gdzie będziecie obserwować ten astronomiczny fenomen? Tylko nie mów mi, że u ciebie? – zapytała groźnie Marta.

– Nie, spokojnie. Będziemy u Marka, a właściwie przed jego domem. Wiesz jak tam trafić?

Dom Marka, chłopaka Oli, na szczęście nie był daleko i można było ten dystans, przy odpowiednim zapasie czasu, pokonać piechotą.

– Wiem, wiem – potwierdziła Marta, starając się policzyć ile czasu zostało jej na zregenerowanie sił.

– Do zobaczenia zatem – zakończyła krótko Ola.

– Do zobaczenia.

Marta odłożyła słuchawkę na widelki i spojrzała na zdjęcia w ramach na biurku przy telefonie.

Była to duża ramka, ale nie miała wewnątrz jednego zdjęcia, lecz bardziej przypominała układankę puzzli składającą się z bardzo wielu zdjęć. Tych starszych, nowszych i zupełnie nowych. W tym momencie Marta spoglądała na zdjęcie grupki młodych ludzi. Pomiędzy nimi zobaczyła siebie w objęciach Oli.

Ta niebieskooka, wiecznie uśmiechnięta, blondynka z krótko przystryżonymi włosami, ubrana była w krótkie spodnie i niebieską koszulkę na ramiączkach. Roześmiała się sama do siebie, dobrze pamiętała ten wyjazd. Dwutygodniowe wakacje, dwa lata temu, spędzone nad jeziorem

w letniskowym domku rodziców Oli.

Do wyjścia pozostało jej jeszcze trochę czasu. Postanowiła, że za kilkanaście minut weźmie prysznic i odświeży zmęczone ciało.

Ekspedientka niewielkiego sklepu alkoholowego, po raz kolejny tego dnia poczuła od swego klienta odór potu i przetrawionego alkoholu.

– Dwa wina, poproszę. – wyjąkał niepewnie trzymający się na nogach Leszek.

Był on stałym klientem sklepu i właśnie nabywał kolejne wino w dniu dzisiejszym. Co najmniej tygodniowy zarost na jego twarzy, nieuczesane włosy i poplamione ubranie pełne lat, od razu pozwalały pomyśleć, że człowiek ten jest bezdomnym, który delikatnie mówiąc znacznie nadużywa alkoholu.

Dokładnie odliczona kwota, jaka wysypała się na ladę, składała się głównie z drobnych, zapewne wyżebranych monet.

– Dziękuję – odparł z zadowoleniem Leszek i sprawnie zapakował wina za pasek następnie nakrył je koszulką i wyszedł.

Przed sklepem czekali już na niego trzech koledzy o podobnym wyglądzie, ubraniu i guście dotyczącym trunków.

– Kupileś? – zapytał jeden z trójki.

– Pewnie, że tak – odparł dziarsko Leszek. – Taki ładny dzień, trzeba by się wybrać do parku. Tam spokojnie wszystko wypijemy.

Dzień rzeczywiście był bardzo ładny. Na niebie prawie w ogóle nie było chmur, wiał lekki wiatr, a wszyscy chodzili w koszulkach. Taka pogoda z pewnością sprzyjała spacerom, wycieczkom i spędzaniu wolnego czasu z dala od ścian, cegieł i betonu.

Ławka była schowana pomiędzy gęsto porośniętymi krzakami bzu i tui. Wiele z pośród jej szczelbi było wyłamanych i długie lata nie widziały już pędzla z farbą. Wokół pordzewiałych nóg, pełno było porozrzucanych kapsli i korków po tanim winie. Nietrudno było się domyślić, do kogo „należy” to miejsce i co najczęściej ma tam miejsce. Tym bardziej, że zbliżali się już stali bywalcy ławeczki.

– No i jesteśmy – powiedział Leszek i zajął swoje stałe miejsce.

Mężczyźni bez słów zajęli ławeczkę i po chwili zaczęli systematyczne opróżniać zakupione butelki. Pierwsza została wypita w ciągu zaledwie minuty, bez ubarwiania spożycia, jakkolwiek rozmową. Następna butelka została otwarta zaraz po odstawieniu pustej poprzedniczki. Krążyła przez chwilę, stając się coraz lżejsza, aż w końcu opustoszała i podzieliła los poprzedniczki.

– Wypiloby coś jeszcze – dodał markotny Leszek, wpatrując się w dopiero, co wypity alkohol.

– MOŻNA?? – usłyszeli nagle.

Nieznajomy pojawił się przy krzakach bzu niczym zjawą. Cała czwórka może by się i przestraszyła obcego bardziej, ale dwie butelki wina, jakie dzwoniły w jego dłoni, dodały odwagi wszystkim obecnym.

Przybysz, nie widząc znaków sprzeciwu, podszedł bliżej. Nie był to człowiek pokroju Leszka, czy jego kompanów.

Czarna broda i czarne włosy znacznie częściej były czesane i myte niż reszty amatorów wina. Ubranie, choć nie najnowsze, nie miało śladów plam, czy pomieć, jakie mieli w nadmiarze pozostali. Oczy ciemnobrązowe, prawie czarne wpatrzone w jeden punkt, nie miały żadnego wyrazu.

Nie można było z nich wyczytać ani cierpienia, ani radości, ani żadnego innego uczucia. Gęsta broda skrywająca twarz, utrudniała ustalenie wieku nieznajomego. Mógł mieć zarówno trzydzieści jak i pięćdziesiąt lat. Przeciętna budowa ciała sprawiała, że gdyby nie te zimne, bezduszne oczy, człowiek ten nie zwracałby na siebie żadnej szczególnej uwagi.

– Kolega widzę ma zaproszenia – wycedził jeden z siedzących, wpatrując się z pożądaniem w butelki z winem.

– Ma się rozumieć. – Brodacz mówiąc to podał butelki siedzącym, a sam wyciągnął zza paska kolejną.

– O, jak ładnie! Kolega zaopatrzony... jak na święta – powiedział radośnie jeden z kolegów Leszka.

– Bo dziś mamy święto i to bardzo ważne – odpowiedział cicho nieznajomy.

Zebrani popatrzyli na siebie nieco zdziwieni. Jedenastego sierpnia nie było żadnego święta. Nie mogli skojarzyć, jakie święto może mieć na myśli nieznajomy i o co mu tak naprawdę chodzi. Żadnemu nie przychodziło do głowy nic, prócz od dawna nagłaśnianego zaćmienia słońca, jakie miało mieć dziś miejsce.

– A jakie to święto, przecież nie Boże Narodzenie? – zadrwił Leszek, na co reszta odpowiedziała gromkim śmiechem. – Może będziemy świętować zaćmienie? Ja już jestem trochę zaćmiony! – kontynuował Leszek, wywołując w towarzyszach jeszcze większą falę śmiechu.

– Masz rację – powiedział do siebie obcy, ale jego słów nikt z obecnych nie słyszał. Wszystko zagłuszył śmiech wciąż rechoczących pijaków.

Brodacz przechylił butelkę z winem i spojrzał prosto w słońce, jego oczy nie zmrużyły się, choć patrzył prosto w świecąca tarczę słońca.

Marta wrzuciła do torebki portmonetkę i niewielki czarny notatnik. Zazwyczaj służył jej do zapisywania telefonów, terminów spotkań, planów zajęć i wszystkich innych ważnych rzeczy, o których mogłaby zapomnieć. Przejrzała się w lustrze. Dżinsy i świeża krótka koszulka leżały na niej nienagannie. Wybiegła z kamienicy i spojrzała na zegarek, była jedenasta trzydzieści. Przyspieszyła kroku. Rząd kamienic pokonała biegiem. Za rogiem ulicy potrafiła jakąś starszą panią, za co przeproszała ją wciąż przyspieszając kroku.

– Nie zdążę – pomyślała Marta, patrząc na zegarek.

Postanowiła skrócić marsz wybierając drogę przez zaniedbany, stary park. Szła szybko, co chwilę sprawdzając czas. Przebiegła przez ulice i znalazła się na skraju parku.

– Spóźni się i nic nie zobaczy – lamentowała Ola, chodząc dookoła ogrodowego stolika.

– Spokojnie, dopiero się zaczyna. Zobacz zresztą sama.

Darek, chłopak Oli, był wysokim blondynem o kręconych włosach i piegopatym nosie. Patrząc na niego, można było powiedzieć tylko jedno słowo – chudzielec. To słowo doskonale obrazowało budowę ciała Darka.

W tym momencie, ów chudzielec stał przy urządzeniu, składającym się z niewielkiej lunety do obserwacji nieba i kilku rozłożonych wokół statywów. Luneta była odwrócona okularom w stronę słońca i miała na dole sporządzony z papieru kołnierz, tworzący coś na kształt parasola. Pod

całą tą konstrukcją stał następny statyw, z przymocowaną do siebie plastrem plastikową białą tacą tworzącą ekran. Na ekranie widać było niewielką tarczę słońca. Nie było ono jasne, można by je przyrównać do światła małej latarki i to w dodatku takiej, której baterie się już wyczerpują. Jednakże w lewym dolnym rogu tarczy słońca, widać było niewielki, ale wyraźny ubytek, jakby owal słońca był trochę przesłonięty przez część jakiegoś innego okręgu.

– Dużo nam czasu został do końca? – zapytała Ola.

– Chyba do całkowitego zaćmienia – odparł zarożumiałe Darek.

Ola nic nie powiedziała, tylko groźnie spojrzała na swego chłopaka. Taki sposób patrzenia znaczył więcej niż wrzeszczący potok słów, jaki często miała przyjemność wylewać Ola. Darek wiedział, że nie może się ociągać z odpowiedzią.

– Za jakieś 25–30 minut będzie ciemno – powiedział ukazując swe białe zęby.

– Gdzie ona jest? – niepokoila się Ola i spojrzała na ulice przez niezbyt wysoki murek otaczający willę. Droga prowadząca w dół do parku, była prawie pusta. Niewiele osób przechadzało się załatwiając swoje sprawy i żadna z nich swą postać nie przypominała Marty.

Marta tymczasem, skracając drogę do Darka domu, weszła do parku.

Miejski park był otoczony starym zniszczonym murkiem pamiętającym z pewnością lata pięćdziesiąte, a może nawet wydarzenia wojny. Alejki parku, jeśli w ogóle można by o nich tak powiedzieć, były zniszczone, a spod asfaltu gęsto przebijały się kępy trawy. Wszechobecne nierówności drózek, skutecznie odstraszały amatorów deskorolek, rolek oraz matki z wózkami. Stare i bardzo grube drzewa były otoczone niestrzeżonymi od dawna trawnikami, a krzewy i chwasty osiągnęły pokaźne rozmiary sprawiając, że po wejściu do parku jego gości otaczał półmrok.

Właśnie takie warunki sprawiły, że miejski park zyskał złą sławę. Spowodowane było to kilkunastoma wypadkami napaści, pobicia i kradzieży. Często można było w nim spotkać bezdomnych, którzy spali na ławkach, lub żebrali o pieniądze na tanie alkohole.

W tak mroczny park wchodziła właśnie Marta. Chciała przejść go jak najszybciej, gdyż po pierwsze, spieszyła się na spotkanie, a po drugie, bardzo nie lubiła tego miejsca. Szła szybkim krokiem starając się mieć tą wymuszona trasę jak najszybciej za sobą. Część z zaniedbanego parku była znajoma Marcie, wiedziała, która alejką iść, aby wyjść na odpowiedniej ulicy.

Dziś, zważywszy na szczególne okoliczności, postanowiła dodatkowo skrócić drogę idąc nie alejkami, ale wydeptanymi ścieżkami. Park był zasadzony na planie koła, więc większość alejek była poprowadzona dookoła jego obwodu z rozchodzącymi się w różnych kierunkach odnogami. Ścieżki pomiędzy krzakami i drzewami tworzyły kolejne figury geometryczne. Patrząc na park z góry daloby się zauważyć, że pośród chaosu ścieżek i alejek można by wydobyć regularną figurę. W jej środku stała obrosnięta krzakami stara ławka. Stało przy niej pięciu mężczyzn. W tym kierunku szybko zbliżała się postać dziewczyny. To była Marta.

Leszek, jego przyjaciele, oraz brodaty nieznajomy właśnie kończyli prawdopodobnie już ostatnią butelkę wina. Siatka nieznajomego, jak się okazało, zawierała jeszcze kilka butelek tego taniego alkoholu. Wszyscy, z wyjątkiem nieznajomego siedzieli na ławce i tempo rozglądali się dookoła kładąc między sobą coś, co przypominało rozmowę. Brodacz spojrzał na słońce, jego oczy po raz kolejny nic nie wyraziły, ale na twarzy pojawił się nikły grymas uśmiechu. Następnie spojrzał przez jeden z krzaków. W kierunku zarośli zbliżała się młoda kobieta.

– Co tam tak wyglądasz? – zapytał nieznajomego Leszek. – Wypatrujesz coś?

– Tak, dania głównego – odparł cicho nieznajomy, gładząc się po brodzie.

Leszek zaciekawiony, co też może widzieć brodaty nieznajomy, podszedł i zajrzał mu przez ramię. Zobaczył zbliżającą się ku nim Martę.

– Niezła laseczka – szepnął Leszek i w jego pijanych oczach pojawiły się iskierki żądz i szaleństwa. Reszta z siedzących na ławce poszła już w ślady Leszka i zza innych krzaków obserwowali Martę, idącą prosto w ich kierunku.

– Dokąd to tak się spieszymy? – Brodaty mężczyzna szybkim skokiem zaszedł drogę Marcie. W tym samym czasie reszta załogi ławki, niczym stadko wilków, półkolem otoczyło ją ze wszystkich stron. Dziewczyna próbowała wyminąć jednego z pijaków, ale ten znów zaszedł jej drogę blokując wyjście. Ponowna próba wymanewrowania przeciwników zakończyła się takim samym efektem.

– Zapytałem, dokąd tak spieszo? – zapytał raz jeszcze nieznajomy, ale tym razem z naciskiem na każde słowo.

– Nie pańska sprawa! – odburknęła Marta i po raz kolejny próbowała się przedrzeć przez kordon otaczających ją mężczyzn. Tym razem, Marta użyła większej siły w próbie przedarcia się na zewnątrz. Mężczyzna zatrzymał ją rękami.

– Masz!!! – Marta z całej siły uderzyła jednego z napastników w twarz. Ten złapał się za policzek i z wściekłością uderzył Martę otwartą dłonią.

– Suka!!! – wrzasnął wściekle, trzymając się za twarz.

Marta po tym ciosie osunęła się na ziemię, torebka spadła jej z ramienia i upadła obok.

– Teraz to inaczej pogadamy!!! – krzyknął pijak, a cała czwórka, bez brodatego nieznajomego złapała Martę za ręce i nogi. Następnie powlekła wśród jej wrzasków za krzaki tuż koło ławki.

Nieznajomy nie angażując się w zdarzenia odprowadzał rzucającą się i krzyczącą Martę wzrokiem. Na jego obliczu po raz kolejny pojawił się nikły uśmiech. Dziewczyna i oprawcy zniknęli za krzakami i słychać było jedynie jej przytłumione krzyki. Brodacze rozejrzeli się po parku, nie było widać dookoła żadnej żywej osoby. Park wydawał się teraz, jakby w ogóle nie odwiedzali go ludzie, sądząc, że jest to miejsce przeklęte.

Stawało się coraz ciemniej. Nie wiadomo skąd, zerwał się silny wiatr, niosący ze sobą tumany kurzu, śmieci i zwiedniętych liści. Korony drzew rozpoczęły swój taniec w rytm zagrany przez podmuchy wiatru. Kruki i wrony przesiadujące zazwyczaj w koronach drzew, poczęły latać w koło i głośno krakać. Niebo z niebieskiego, stawało się coraz bardziej sine. Słońce jeszcze świeciło, ale lada chwila zniknie za tarczą księżyca i wszystko zostanie ogarnięte przez ciemności. Nieznajomy obserwował nadciągającą znikąd burzę, niczym przedstawienie. Po raz kolejny spojrzął w tarczę słońca, zaćmienie zbliżało się do swego kulminacyjnego momentu.

– Pomocy!!! Rat... – słychać było stłumione wołania Marty.

Oczy brodatego obcego były pełne dziwnego blasku i wydawały się większe niż oczy normalnego człowieka. Odwrócił się i zajrzał przez krzaki na scenę rozgrywającą się zaraz przy ławce.

Marta miała na sobie rozdartą koszulkę i zsunięty stanik odsłaniający jej nagie piersi. Oprawcy trzymali ją za ręce i nogi, usta miała zakneblowane jakąś szmatą. Twarz każdego z nich była sinoczerwona. Oczy przekrwione do granic możliwości, wyglądały jakby miały za chwilę eksplodować. Marta rzucała się z całych sił, by uwolnić się z uścisków gwałcicieli. Niestety osiem męskich ramion było nie do pokonania przez jedną parę kobiecych rąk. Po chwili dżinsy i bielizna Marty wylądowały przy pustych butelkach po winie. Robiło się coraz ciemniej.

Ola spojrzała na zegarek, potem na ekran przedstawiający obraz zaćmienia. Tarcza słoneczna była już prawie cała przesłonięta. To, co pozostało, przypominało bardzo cienki świecący rogal księżycy.

– Gdzie ona jest? – pomyślała z niepokojem Ola, podchodząc do ogrodzenia.

– Za chwilę będzie całkowite zaćmienie – powiedział Darek, patrząc na słońce przez zlepione, podwójne okulary słoneczne.

Ola spojrzała w dół ulicy. Skierowała swój wzrok na park. Zauważyła, że drzewa w parku chwieją się, a tymczasem ona, oddalona od parku zaledwie o około sto dwadzieścia metrów, czuła na swoim ciele ledwie słaby podmuch wiatru.

Tymczasem park wyglądał, tak jakby znajdował się w oku cyklonu. Krzaki i drzewa uginały się pod naporem wiatru, niosącego ze sobą całą masę śmieci, liści, kurzu i piachu. Wszystko to kręciło piruety małych trąb powietrznych powstających i znikających w różnych miejscach. Ptaki wciąż odgrywały swój kraczący koncert. Stawało się coraz ciemniej.

Nieznajomy przecisnął się pomiędzy krzakami, by stanąć bliżej ławki. Jeden z mężczyzn leżał na Marcie, dwaj inni przytrzymywali jej ręce. Szaleńcze śmiechy, wrzaski i bezsensowne bicie dziewczyny towarzyszące temu zdarzeniu, świadczyły, że mężczyźni nie zachowują się jak gwałciciele, ale jak rozwrzeszczane bestie, mające na celu tylko i wyłącznie zaspokojenie swoich podstawowych, prymitywnych żądz.

Brodaty nieznajomy patrzył z góry na przedstawienie mające swoją scenę przy nogach starej ławki. Spojrzał na słońce. Ostatnie promienie, jakie zdołały się przecisnąć zza tarczy księżycy, szybko bladły. Nastaly nieprzeniknione ciemności. Wydawało się, że wszystko nagle zamilkło i umarło. Wiatr przez chwilę przestał wiać, ptaki przestały wydawać jakiegokolwiek dźwięki. Nieprzeniknionej ciemności towarzyszyła niemożliwa do usłyszenia cisza.

– TAK!!!! – Był to, rozdzierający ciszę, okrzyk triumfu brodatego mężczyzny.

Następne, co było slychać, to ciężki oddech i charczenie zwierzęcia z poranionymi płucami. Trwało to tylko chwile, zaraz po tym, wiatr na nowo zaczął wiać, unosząc całą, możliwą do uniesienia, zawartość parku. Ptaki, pomimo ciemności nie milczały. Noc rozpraszała się za sprawą nikłego promyka, wynurzającego się zza tarczy księżycy. Marta płakała, lecz nie było już slychać żadnych śmiechów i pojękiwań oprawców. Jeden z nich leżał dalej na Marcie, ale wydawał się być nieprzytomny. Pozostali towarzysze leżeli dookoła całego zdarzenia. Oni także wydawali się być nieprzytomni.

Marta z trudem zepchnęła z siebie nieprzytomnego pijaka.

Wydostać się stąd, uciekać jak najdalej. Tylko takie myśli przebiegały teraz przez głowę Marty. Szlochając, rozejrzała się niepewnie dookoła, szukając swoich ubrań i piątego prześladowcy, jednak śladu po nim nie było. Najszybciej jak potrafiła założyła spodnie i naciągnęła na siebie podartą koszulkę.

– Eghhhrrr. – Był to odgłos wydobywający się z ust jednego z śpiących pijaków.

Przeżrana Marta, czym prędzej zebrała swoją torbę i wybiegła z krzaków. Było już wystarczająco jasno by biec i z każdą chwilą stawało się coraz jaśniej. Marta biegła prawie na oślep, potykając się, co chwilę. Nigdzie dookoła, nie było widać śladu piątego uczestnika gwałtu.

– Co się pani stało??? – zapytał przeżony przechodzień, gdy Marta niemal staranowała go,

wybiegając z parku. Miała podbite oko, z nosa ciekła jej krew tak, jak i z rozciętego czoła. Rany na twarzy i podarta koszulka, mówiły same za siebie. Obląkanym wzrokiem patrzyła na podtrzymującego ją człowieka. Mężczyzna obok patrzył na ząbienie z przerażeniem, następnie wyciągnął telefon.

– Zaraz wezwę karetkę – stwierdził i wybrał numer.

Drugi mężczyzna, niemal siłą, zaprowadził Martę na pobliską ławkę. Karetka przyjechała po kilku minutach i zabrała dziewczynę.

– Dlaczego? Co ja zrobiłam? Dlaczego ja, po co? – Te, i inne pytania, kłębiły się teraz w głowie Marty, ale żadna odpowiedź nie nadchodziła. Nie było wyjaśnienia.

Przez małe okienko ambulansu Marta spoglądała na niebo, było bez jednej chmurki, a słońce świeciło tak samo jak każdego innego dnia. Ludzie na ulicach, obejrzawszy zaćmienie powrócili do swoich codziennych zajęć. Marta, leżąc na noszach, przykryta kocem, patrzyła na to wszystko pustym wzrokiem. Masując sobie dłoń spojrzała na zegarek, był rozbity. Zza stłuczonego szkiełka, wskazówki wskazywały dwunastą dwanaście.

W szpitalu, na izbie przyjęć, nie było wielu pacjentów, więc Marta od razu została opatrzona przez dyżurnego lekarza.

Parafia, w której służył ksiądz Jerzy Gelan, miała kościół przypominający swą architekturą wielką koronę, zwieńczoną na środku krzyżem. Każde z ramion korony, tworzyło potężne okno z witrażem w środku, przedstawiającym różne sceny z biblii. Czerwone cegły, z jakiej był zbudowany, doskonale kontrastowały z równo przystrzyżoną zieloną trawą okalającą budynek. Piętnaście metrów za kościołem, znajdowały się budynki zakrystii, zbudowane z takiej samej czerwonej cegły, ale architekturą przypominały równo ułożone pudełka po zapalkach z wystającymi balkonami.

Jurek właśnie odprawiał mszę. Był to brunet średniego wzrostu, z okrągłym małym nosem i tak samo okrągłymi policzkami. Owe policzki tak, jak i okolice pasa zdradzały niewielką, choć widoczną nadwagę księdza. Niedawno obchodzone trzydzieste piąte urodziny, uświadomiły mu na dobre, że lata młodości zdecydowanie ma już za sobą. Szare oczy oprawione grubymi brwiami, były zadumane, a wyczytać w nich można było szczerą powagę.

Niewielka ilość osób zgromadzonych w kościele przykłękała, gdy Jurek uniósł w górę opłatek.

– Oto ciało Chrystusa – powiedział i podniósł opłatek eucharystii.

Cichy szepot modlitwy rozniósł się echem po kościele. Ksiądz przeżuł eucharystię. Po chwili ponownie wznosił ręce, tym razem z kielichem.

– Oto krew Chrystusa.

Nachylił się delikatnie, by wypić wino z kielicha. Odmawiając krótką modlitwę, spojrzał na zawartość naczynia i zamilkł w połowie.

W kielichu, zamiast przeźroczystego, białego wina, które doskonale znał, była czarna, cuchnąca i gęsta ciecz. Zawahał się przez chwilę, przyłożył kielich do ust i przechylił, ale tak, by nie wypić czarnej cieczy. Odstawił ostrożnie kielich, spojrzał mimowolnie na zegarek i odnotował, że jest dwunasta dwanaście. Resztę mszy odprawił najszybciej, jak to tylko było możliwe. Po zakończeniu posługi i zejściu do zakrystii, nerwowo zaczął się rozbierać z szat liturgicznych.

– Maćku – zwrócił się do ministranta, który obsługiwał mu do mszy. – Możesz mi przynieść moją torbę, jest w pokoju katechetycznym.